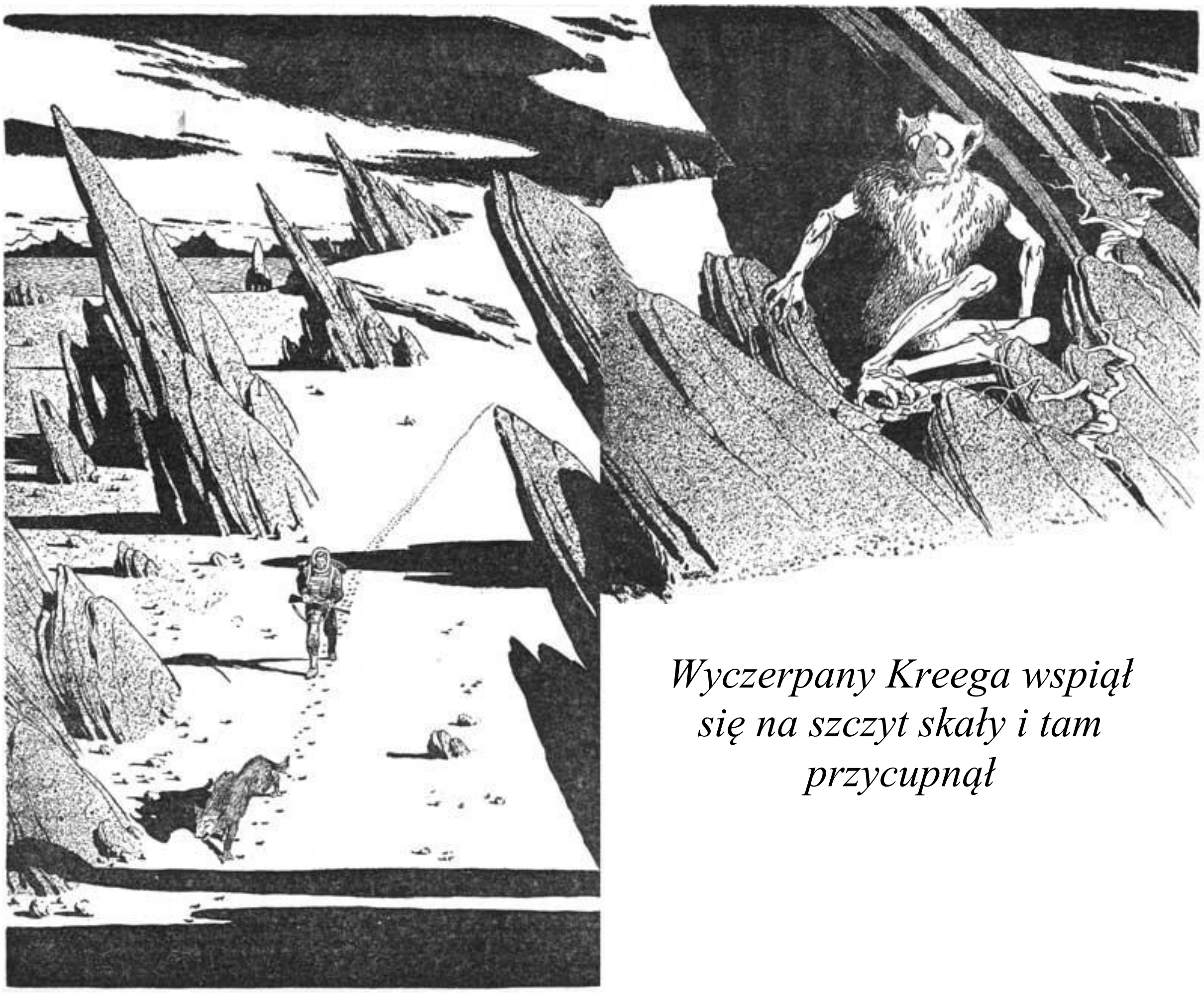
Poul Anderson

Pojedynek na Syrtis

(Duel on Syrtis)

Planet Stories, March 1951
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain
Oryginał tekstu i ilustracje zaczerpnięto z wydania Projektu Gutenberg.



Wyczerpany Kreega wspiął się na szczyt skały i tam przycupnął

Odważny i bezwzględny, znany był w całym Układzie jako łowca grubej zwierzyny. Od ognistych smoków z Merkurego, do lodowych pełzaczy z Plutona, wszystkie padały jego łupem. Ale w należącej do niego kolekcji trofeów brakowało jednego elementu, i teraz Riordan poprzysiągł sobie, że ustrzeli zabronioną zdobycz, przemierzającą czerwone pustynie… Marsjanina!

Wiadomość wyszeptała noc. Zrodzona została w pustce wielu mil samotności, unoszona przez wiatry, powtarzana w szelestach na wpół czujących porostów i karłowatych drzew, przekazywana szeptem po kolei, od jednego do drugiego, przez małe stworzenia żyjące pod skalnymi urwiskami, w jaskiniach, w cieniu wydm. Ostrzeżenie roznoszone było nie przy pomocy słów, lecz poprzez ćmiące pulsowanie strachu, które odbijało się echem w mózgu Kreegi…

Oni znowu polują…

Kreega zadrżał pod nagłym uderzeniem wiatru. Otaczała go olbrzymia, rozległa noc. Rozciągała się wokół niego, ponad nim, od stalowych zębów wzgórz po położone w odległości wielu lat świetlnych błyszczące gwiazdozbiory, krążące nad jego głową. Sięgnął na zewnątrz drżącymi zmysłami, dostrajając się do zarośli, wiatru i małych, ryjących w ziemi stworzeń pod stopami, pozwalając nocy, by do niego przemówiła.

Samotny, samotny. Na obszarze otaczających go setek mil pustkowia, nie było żadnego innego Marsjanina. Dookoła były tylko małe zwierzęta, drżące krzewy i rozrzedzony, smutno wyjący wiatr.

Przez zarośla wędrował bezgłośny krzyk śmierci, od jednej rośliny do drugiej, powielany echem przez pulsujący strach zwierząt, odbijany dzwonem przez skalne ściany. Skręcały się, wysychały i żółkły, podczas gdy rakiety zalewały je z góry potokiem jarzącej się śmierci, a usychające żyły i nerwy krzyczały w niebogłosy aż po same gwiazdy.

Kreega przytulił się do wysokiej, twardej skały. Jego oczy płonęły w ciemności jak żółte księżyce, zimne z grozy, nienawiści i z wolna wzbierającego zdecydowania. Ponuro ocenił, że śmierć rozlała się w krąg o średnicy jakichś dziesięciu mil. A on został złapany w pułapkę wewnątrz niego, i wkrótce łowca wyruszy jego śladem.

Popatrzył w górę, na obojętny blask gwiazd i przez całe jego ciało przebiegł dreszcz. Potem usiadł i zaczął się zastanawiać.

Wszystko zaczęło się kilka dni wcześniej, w prywatnym biurze handlarza Wisby'ego.

– Przyleciałem na Marsa – oznajmił Riordan, – żeby upolować sówkę.

Wisby znał wartość umiejętności zachowania pokerowej twarzy. Spojrzał przez krąg dna swojej szklaneczki na drugiego człowieka, próbując go oszacować.

Nawet w takich zapomnianych przez Boga dziurach, jak Port Armstrong, słyszano o Riordanie. Spadkobierca wartej miliony, firmy dostawczej, którą sam wywindował do rozmiarów monstrum o zasięgu systemowym, był równie dobrze znany jako łowca grubej zwierzyny. Od ognistych smoków z Merkurego, do lodowych pełzaczy z Plutona, upolował je wszystkie. Oczywiście, poza Marsjaninem. Ta określona zwierzyna, była teraz pod ochroną.

Rozparł się w krześle, wielki, silny i bezlitosny, ciągle jeszcze młody mężczyzna. Jego rozmiary i z trudem powstrzymywana energetyczna siła płonąca w jego wnętrzu, przytłaczały zaniedbane pomieszczenie, a chłodne spojrzenie zielonych oczu, zupełnie zniewoliło handlarza.

– Przecież pan wie, że to jest nielegalne – odparł Wisby. – Jeżeli złapią pana na tym, dostanie pan dwadzieścia lat.

– Pchi! Komisarz Marsa rezyduje w Ares, po drugiej stronie planety. Jeżeli dobrze do tego podejdziemy, to kto się o tym dowie? – Riordan przełknął drinka. – Jestem całkowicie świadom tego, że za jakiś rok lub dwa, wszystko tak uszczelnią, że przeprowadzenie takiej akcji będzie

niemożliwe. To jest ostatnia szansa na to, by jakiś człowiek zdobył sówkę. Dlatego właśnie tutaj jestem.

Wisby zawahał się, wyglądając za okno. Port Armstrong był niewiele więcej niż tylko zakurzoną gromadą połączonych tunelami kopuł, na czerwonych piaszczystych pustkowiach, rozciągających się aż po sam horyzont. Po ulicach kręciło się paru Ziemian w skafandrach kosmicznych i przezroczystych hełmach, a ściany podpierało kilku Marsjan. To było już wszystko –– cicha, śmiertelnie monotonna nuda pod dużo mniejszym słońcem. Życie na Marsie nie było dla ludzi czymś specjalnie przyjemnym.

– Chyba nie dopadła pana ta miłość do sówek, która przeżarła całą Ziemię? – pogardliwie naciskał Riordan.

– Och, nie – odparł Wisby. – Wokół mojej placówki muszą znać swoje miejsce. Ale czasy się zmieniają. Nic na to nie poradzę.

– Swego czasu, byli niewolnikami – powiedział Riordan. – Teraz te stare baby na Ziemi, chcą im dać prawo do głosowania. – Parsknął z niesmakiem.

– No cóż, czasy się zmieniają – łagodnie powtórzył Wisby. – Kiedy sto lat temu na Marsie wylądowali pierwsi ludzie, Ziemia właśnie przeszła przez okres Wojen Hemisferycznych. Najgorsze wojny, jakie kiedykolwiek spotkały ludzkość. Cholernie blisko było do unicestwienia dawnych idei wolności i równości. Ludzie byli wtedy podejrzliwi i twardzi –– musieli tacy być, żeby przetrwać. Nie byli zdolni do… do empatii w stosunku do Marsjan, czy jak ich tam nazwać. Nie byli w stanie myśleć o nich inaczej, jak o inteligentnych zwierzętach. A Marsjanie stali się takimi przydatnymi niewolnikami. Potrzebują bardzo niewiele jedzenia, ciepła czy tlenu, mogą przeżyć nawet piętnaście minut czy coś koło tego, w ogóle nie oddychając. A dzicy Marsjanie stanowili taką dobrą rozrywkę –– inteligentną zwierzynę łowną, która przeważnie była w stanie uciec, a czasami nawet potrafiła zabić myśliwego.

– Wiem – wtrącił Riordan. – To właśnie dlatego chcę upolować jednego z nich. Co za zabawa, jeżeli zwierzyna nie ma żadnych szans.

– Teraz jest inaczej – mówił dalej Wisby. – Na Ziemi od dłuższego czasu panuje pokój. Przewagę zdobyli liberałowie. Naturalnie jedną z ich pierwszych reform, było zniesienie niewolnictwa Marsjan.

Riordan zaklął głośno. Wymuszona repatriacja pracujących na jego statkach kosmicznych Marsjan, wiele go kosztowała.

– Nie mam czasu na pańskie filozofowanie – powiedział. – Jeżeli jest pan w stanie zaaranżować dla mnie polowanie na Marsjanina, będzie to dla pana warte zachodu.

– A tak dokładnie, to ile warte? – spytał Wisby.

Targowali się przez kilka chwil, zanim ustalili szczegółowe liczby. Riordan przywiózł ze sobą broń i małą łódź rakietową, ale Wisby miał dostarczyć materiały radioaktywne, „jastrzębia" i skalnego psa. Ponadto miał otrzymać pewną sumę z tytułu ryzyka akcji prawnej, chociaż było ono niewielkie. Finalna kwota wyszła znaczna.

– A więc, gdzie mogę zdobyć mojego Marsjanina? – dopytywał się Riordan. Wskazał gestem na dwóch stojących w pobliżu na ulicy. – Złapie pan jednego z nich i wypuści go pan na pustyni?

Nadeszła kolej na Wisby'ego, aby okazać nieco pogardy.

– Jednego z nich? Ha! Miejskie łazęgi! Lepszą walkę zapewniłby panu zwykły mieszczuch z Ziemi.

Marsjanie nie wyglądali specjalnie imponująco. Stojąc na swoich skórzastych, zakończonych szponiastymi stopami nogach, mierzyli tylko jakieś cztery stopy wzrostu. Ich ręce, z kościstymi dłońmi o czterech palcach, były chude i żylaste. Klatkę piersiową mieli szeroką i potężną, ale talie śmiesznie szczupłe. Byli żyworodni, ciepłokrwiści i karmili swoje młode piersią, lecz ich skórę pokrywały szare pióra. Duże okrągłe głowy z haczykowatymi dziobami, ogromne bursztynowe oczy i czubate pierzaste uszy, dopełniały obrazu leżącego u źródła pochodzenia nazwy „sówka". Ubierali się jedynie w obwieszone sakwami pasy do których przyczepiali noże w pochwach. Nawet liberałowie na Ziemi, nie byli jeszcze gotowi na to, by pozwolić tubylcom na używanie nowoczesnych narzędzi i broni. Zbyt wiele starych uraz było ciągle żywych.

– Marsjanie zawsze byli dobrymi wojownikami – przypomniał Riordan. – Za dawnych czasów starli z powierzchni całkiem sporo ziemskich osad.

– Tak, dzicy – zgodził się z nim Wisby. – Ale nie ci tutaj. Ci są tylko głupimi niewykwalifikowanymi robotnikami, tak samo zależnymi od naszej cywilizacji, jak my sami. Pan chce starego weterana, a ja wiem, gdzie takiego można znaleźć.

Rozłożył na biurku mapę.

– Proszę spojrzeć, tam na Wzgórzach Hraefnian, jakieś sto mil stąd. Ci Marsjanie żyją bardzo długo, może nawet dwa wieki, a ten gościu Kreega kręcił się w okolicy, już od czasów kiedy przybyli tutaj pierwsi Ziemianie. Za starych dobrych czasów poprowadził wiele ataków Marsjan, ale ponieważ potem ogłoszono ogólną amnestię i pokój, mieszkał więc tam sobie w spokoju i samotnie, w jednej ze starych zrujnowanych wież. To prawdziwy wojownik z dawnych lat, który nienawidzi Ziemian do szpiku kości. Kiedyś pojawił się tu na krótko, z futrami i minerałami na handel, tak więc co nieco się o nim dowiedziałem. – Oczy Wisby'ego gwałtownie rozbłysły. – Zrobi pan nam wszystkim sporą przysługę, jeśli zastrzeli pan tego aroganckiego bękarta. Kroczy tutaj wszędzie dumnie, z uniesioną głową, tak jakby to miejsce należało do niego. No i da panu całkiem niezłą zabawę za pańskie pieniądze.

Potężna ciemnowłosa głowa Riordana, skinęła z satysfakcją.

Człowiek miał ptaka i skalnego psa. To była zła wiadomość. Gdyby nie one, Kreega mógłby skryć się gdzieś w labiryncie jaskiń, kanionów i krzaczastych zarośli. Jednak pies wytropi go po zapachu, a ptak mógł go dostrzec z powietrza.

Co gorzej, człowiek wylądował w pobliżu wieży Kreegi. Przechowywał w niej całą swoją broń, a teraz został od niej odcięty. Był nieuzbrojony i

samotny, mając do dyspozycji jedynie tę niewielką pomoc jakiej mogła mu udzielić pustynia i żyjące na niej stworzenia. Być może uda mu się jakoś podstępem dostać z powrotem do wieży, ale na razie musiał po prostu przeżyć.

Siedział w jaskini, wyglądając z niej na umęczone pustkowie pełne piasku, kolczastych zarośli, wyżłobionych przez wiatry skał. Zasięg widoczności w czystym, rozrzedzonym powietrzu sięgał na całe mile, aż po metaliczny błysk na horyzoncie, w miejscu gdzie stała rakieta. W tym rozległym suchym pejzażu, człowiek był jedynie małą plamką, samotnym robakiem pełzającym pod ciemnoniebieskim niebem. W rozrzedzonej i cienkiej atmosferze, gwiazdy widoczne były nawet w ciągu dnia. Słabe, blade światło słoneczne rozlewało się po brązowych, rdzawych i ciemnoczerwonych skałach, niskich, zakurzonych ciernistych krzewach i powykręcanych małych drzewkach, pomiędzy którym prześwitywały lekko jasnym kolorem łachy piasku. Równikowy Mars!

Samotny, czy nie, człowiek miał przy sobie broń, która mogła nieść śmierć na odległość, aż po linię horyzontu, no i miał też swoje zwierzęta. W łodzi rakietowej czekało z pewnością radio, przez które mógł wezwać kolejnych towarzyszy. A dookoła otaczała ich pierścieniem promienista śmierć, czarodziejski krąg, którego Kreega nie mógł przekroczyć, nie sprowadzając na siebie gorszej śmierci, niż ta, jaką przyniosłaby mu strzelba…

Może jednak istniał jeszcze gorszy rodzaj śmierci? Zostać zastrzelonym przez potwora, który zabierze jego wypchaną skórę jako trofeum, mające posłużyć uciesze tłumów gapiących się głupców? Pradawna żelazna duma jego rasy wezbrała w Kreedze, twarda, gorzka i nieubłagana. W obecnych czasach, nie oczekiwał już zbyt wiele od życia. Samotności i spokoju w swojej wieży, tak by mógł snuć długie rozmyślania Marsjanina i tworzyć małe, delikatne dzieła sztuki, które tak kochał. Towarzystwa kogoś ze swojej rasy w Porze Spotkań. Poważnej starożytnej ceremonii, pełnej zgryźliwego humoru, i szansy na poczęcie i wychowanie synów. Sporadycznych podróży do osiedli Ziemian, w celu zdobycia wyrobów z metalu i wina, które było jedyną wartościową rzeczą, jaką ludzie przywieźli na Marsa. Mgliste marzenia o wyniesieniu swojego ludu na pozycje, z których mogliby stawać jak równy z równym, wobec całego wszechświata. To wszystko. A teraz, zabrano mu nawet to!

Rzucił ostre przekleństwo pod adresem ludzi, i wrócił do swojej mozolnej pracy nad ociosywaniem grotu włóczni, tak by mieć chociaż tę niewielką pomoc. Zarośla sucho szeleściły na alarm, małe ukryte zwierzątka piskiem obwieszczały swój strach, cała pustynia krzyczała do niego o zbliżającym się w stronę jego jaskini potworze. Ale nie musiał jeszcze na razie uciekać.

Riordan rozpylił na dziesięciomilowym okręgu wokół starej wieży, izotop ciężkiego metalu. Zrobił to nocą, tak na wszelki wypadek, gdyby gdzieś w okolicy węszył jakiś pojazd patrolowy. Ale kiedy już wylądował,

był zupełnie bezpieczny –– zawsze może twierdzić, że tylko spokojnie bada teren, poluje na skoczki, czy coś w tym rodzaju.

Radioaktywna substancja miała okres połowicznego rozpadu około czterech dni, co oznaczało, że nie będzie można do niej podchodzić przez jakieś trzy tygodnie –– minimum dwa. Tyle czasu powinno mu absolutnie wystarczyć, w sytuacji gdy Marsjanin został zamknięty na tak niewielkim obszarze.

Nie było żadnego niebezpieczeństwa, że tubylec będzie próbował przekroczyć krąg. Sówki dobrze wiedziały co oznacza radioaktywność. Dowiedziały się tego już dawno temu, kiedy walczyły z ludźmi. A dzięki swojemu wzrokowi, sięgającemu głęboko w ultrafiolet, bezpośrednio widziały ją jako fluorescencję –– nie mówiąc już o tych wszystkich dodatkowych nieludzkich zmysłach, jakie posiadały. Nie, Kreega powinien próbować się ukrywać, a może nawet walczyć, ale w końcu zostanie przyparty do muru.

Pomimo wszystko nie było sensu, aby dawać mu jakieś dodatkowe szanse. Riordan ustawił timera na odbiorniku radiowym łodzi. Jeżeli nie wróci w ciągu dwóch tygodni, żeby go wyłączyć, radio powinno wyemitować sygnał, który odbierze Wisby, i zorganizuje dla niego pomoc.

Sprawdził resztę swojego ekwipunku. Miał skafander powietrzny, zaprojektowany specjalnie do marsjańskich warunków, z zasilaną przez promień energetyczny z łodzi, małą pompą do sprężania powietrza, tak by mógł nim oddychać. To samo urządzenie odzyskiwało z jego oddechu sporo wody, tak że waga kilkudniowych zapasów była na tyle mała, oczywiście przy marsjańskiej sile ciążenia, że mógł je swobodnie unieść. Zabrał ze sobą również strzelbę kalibru .45, zbudowaną tak by mogła strzelać w marsjańskiej atmosferze. Była to wystarczająco potężna broń, jak dla jego celów. No i oczywiście kompas, lornetka i śpiwór. Wyposażenie było dosyć lekkie, ale pomimo wszystko preferował minimalne jego ilości.

W przypadku jakiegoś krańcowego niebezpieczeństwa, miał ze sobą mały zbiorniczek suspendyny. Przekręcając kurek, mógł ją wypuścić do swojego systemu powietrznego. Gaz nie do końca powodował pełne zawieszenie procesów życiowych, ale paraliżował włókna nerwowe i spowalniał cały metabolizm do poziomu, w którym człowiek mógł przeżyć cztery tygodnie na jednym pełnym wdechu powietrza. Była ona bardzo użyteczna w chirurgii, i uratowała życie niejednego odkrywcy międzyplanetarnego, którego zawiódł aparat tlenowy. Riordan nie spodziewał się jednak, żeby musiał jej używać. A już z pewnością miał nadzieję, że nie będzie musiał. Leżenie plackiem przez te wszystkie dni, zachowując pełną świadomość i czekając na wysłanie automatycznego sygnału, który wezwie Wisby'ego, byłoby przeraźliwie nudne.

Wyszedł z łodzi i zamknął ją na klucz. Nie było możliwości, żeby sówka się do niej włamał, nawet gdyby się rozdwoił. Żeby przebić się przez ten kadłub, musiałby mieć tordenit.

Zagwizdał na zwierzęta. To były tutejsze stworzenia, dawno temu już udomowione przez Marsjan, a później przez ludzi. Skalny pies wyglądał jak wychudzony wilk, tylko pokryty piórami i o olbrzymiej piersi. Był

równie dobrym tropicielem, jak każdy z ziemskich posokowców. „Jastrząb” był mniej podobny do swojego odpowiednika z Ziemi. Był ptakiem drapieżnym, ale w rozrzedzonym powietrzu potrzebował sześciostopowej rozpiętości skrzydeł, aby unieść swoje małe ciało. Riordan był miłośnikiem ich hodowli i szkolenia.

Pies zaczął ujadać, niskim, rozedrganym głosem, tłumionym niemal do poziomu niesłyszalności przez rozrzedzone powietrze i plastikowy hełm skafandra, który miał wyłączone mikrofony i wzmacniacze. Zataczał kręgi wokół łodzi i węszył, podczas gdy jastrząb wzleciał w obce niebo.

Riordan nie przyglądał się szczegółowo samej wieży. Była to zmurszała budowla na szczycie rdzawego wzgórza, nieludzka i groteskowa. Kiedyś, może dziesięć tysięcy lat temu, Marsjanie stworzyli coś w rodzaju cywilizacji, miasta, rolnictwo i neolityczną technologię. Ale, zgodnie z ich własnymi przekazami, osiągnęli unię, czy też symbiozę, z dziką przyrodą planety i odrzucili takie mechaniczne protezy, jako zbędne. Riordan parsknął.

Pies ponownie zaczął ujadać. Hałas zdawał się w niesamowity sposób wisieć w nieruchomym, zimnym powietrzu, drżąco odbijając się od skał i zboczy wzgórz i opornie zamierając w ogromnej ciszy. Brzmiało to jak głos rogu, harde wyzwanie rzucane podstarzałemu światu –– odsuń się, zrób miejsce, oto nadchodzi zdobywca!

Zwierzę nagle skoczyło naprzód. Złapało trop. Riordan ruszył za nim długim, swobodnym krokiem, typowym dla niskiej grawitacji. Jego oczy błyszczały jak zielony lód. Polowanie się rozpoczęło!

Oddech rzęził w płucach Kreegi, ciężki, szybki i chropawy. Nogi robiły się słabe i ciężkie, a walenie serca wydawało się wstrząsać całym ciałem.

Biegł bez przerwy, a za nim narastał straszliwy jazgot oraz coraz bliższy i głośniejszy tupot stóp. Kreega uciekał, skacząc, wykręcając się, przefruwając ze skały na skałę, ześlizgując się w lawinach kamieni i przedzierając się przez kępy drzew.

Jego tropem podążał pies, a w górze szybował jastrząb. W dzień i w nocy, zmuszały go do ucieczki, do szaleńczego biegu, z ujadającą śmiercią na plecach. Nie wyobrażał sobie, że człowiek jest w stanie poruszać się tak szybko i z taką wytrwałością.

Pustynia walczyła w jego obronie. Po jego stronie były rośliny z ich dziwacznym ślepym życiem, którego nigdy nie był w stanie zrozumieć żaden Ziemianin. Kiedy on pędził przez zarośla, ich ciérniste gałęzie odwijały się na boki, a następnie z powrotem się rozprostowywały, by ranić boki psa, spowalniać go… ale nie były w stanie zatrzymać tej brutalnej pogoni. Bez wysiłku przedzierał się przez ich pozbawione mocy, chwytające go palce i szczekając podążał śladem Marsjanina.

Człowiek z mozołem posuwał się jakąś milę za nim, ale nie wykazywał najmniejszych oznak zmęczenia. Kreega uciekał bez chwili przerwy. Musiał dotrzeć do krawędzi skalnej ściany, zanim łowca dostrzeże go przez

przyrządy celownicze swojej strzelby… musiał to zrobić, musiał to zrobić, a w tej chwili pies warczał już zaledwie kilka jardów za jego plecami.

Na szczycie długiego zbocza, po którym wchodził, zatrzepotał atakujący go jastrząb, szukający miejsca, by zatopić w jego głowie dziób i szpony. Uderzył stworzenie drzewcem włóczni i uskoczył na drugą stronę drzewa. Drzewo wyciągnęło wijącym ruchem gałąź, od której odbił się pies, wyjąc w niebogłosy tak, że aż zadrżały skały.

Marsjanin rzucił się w stronę krawędzi ściany. Opadała ona zupełnie pionowo, aż do dna kanionu. Pięćset stóp poznaczonej żelazistymi pasmami skały, opadającej przez chłostane wiatrem przestworza. Obniżające się ku zachodowi słońce świeciło mu prosto w oczy. Zatrzymał się jedynie na moment, odcinając się czarną sylwetką na tle nieba, doskonale wystawiony na strzał, jeżeli człowiek był w zasięgu wzroku, a następnie przeskoczył ponad krawędzią.

Miał nadzieję, że pies przeleci przez nią, ale zwierzę wyhamowało w ostatniej chwili. Kreega schodził po ścianie, wczepiając się pazurami w każdą, najmniejszą nawet szczelinę, z drżeniem czując jak zniszczona przez czas skała kruszy się pod jego palcami. Jastrząb przeleciał tuż koło niego, usiłując go zahaczyć i krzykiem wzywając swojego pana. Nic na to nie mógł poradzić, nie wtedy, kiedy każdy palec u rąk i u nóg był mu potrzebny do podtrzymywania ciała, aby nie spaść i nie roztrzaskać się na dole, ale…

Ześlizgnął się po pionowej ścianie w szarozieloną kępę pnączy, a jego wszystkie nerwy z drżeniem skoczyły naprzód, odwołując się do pradawnej symbiozy. Jastrząb ponownie spadł na niego, a on leżał nieruchomo, sztywno, tak jakby był martwy, dopóki zwierzę nie wrzasnęło ostro z tryumfem i nie usiadło mu na ramionach, aby wyrwać jego oczy.

Wtedy ruszyły pnącza. Nie były bardzo mocne, ale ich ciernie wbiły się głęboko w ciało i ptak nie mógł się wyrwać. Kreega z najwyższym wysiłkiem ruszył w dół ściany kanionu, podczas gdy pnącza rozerwały jastrzębia na kawałki.

Na tle ciemniejącego nieba, wyłoniła się potężna sylwetka Riordana. Wystrzelił raz i drugi, kule świsnęły złośliwie w pobliżu, ale ponieważ z głębin kanionu na ścianę przesunęły się już cienie, Marsjanin zdołał się w nich skryć.

Człowiek podkręcił głośność wzmacniacza swojego mikrofonu i przez zbierający się zmrok przetoczył się potężny huk jego głosu, grzmotem jakiego suchy Mars nie słyszał przez tysiąclecia:

– Punkt dla ciebie! Ale to jeszcze nie koniec! Znajdę cię!

Słońce ześlizgnęło się poza linię horyzontu i noc zapadła, jak opadająca kurtyna. W ciemnościach Kreega usłyszał jak człowiek się śmieje. Stare skały trzęsły się od jego rechotu.

Riordan był już zmęczony długim pościgiem i męczącym niedostatkiem tlenu. Tęsknił za papierosem i czymś ciepłym do jedzenia, a żadnej z tych potrzeb nie mógł obecnie zaspokoić. Och, dobrze, tym

bardziej będzie doceniał drobne luksusy życia, kiedy już wróci do domu –– ze skórą Marsjanina.

Przygotowując obozowisko, uśmiechał się szeroko. Ten mały bydlak był zdobyczą wartą zachodu, pewne jak cholera. Wytrzymał już dwa dni, w tym niewielkim dziesięciomilowym kręgu terenu, a nawet zdołał zabić jastrzębia. Ale Riordan siedział mu już tak blisko na karku, że pies z pewnością nie zgubi jego tropu, jako że na Marsie nie było żadnych przecinających szlak strumieni. A więc, nie miało to już znaczenia.

Leżał na wznak, obserwując wspaniałą panoramę nocnego nieba. Wkrótce zrobi się zimno, bezlitośnie zimno ale jego śpiwór był dostatecznie dobrym izolatorem, żeby utrzymać go w cieple, wykorzystując energię słoneczną, zakumulowaną w ciągu dnia przez ogniwa Gergena. Noce na Marsie były bardzo ciemne, a jego księżyce niewiele to zmieniały –– Fobos był pędzącą po niebie plamką, a Deimos zaledwie jasną gwiazdą. Ciemność, zimno i pustka. Skalny pies zagrzebał się gdzieś w pobliżu w luźny piasek, ale gdyby Marsjanin próbował podkraść się w pobliże obozu, natychmiast podniósłby alarm. Nie żeby było to jakieś bardzo prawdopodobne –– także musiał gdzieś tam znaleźć schronienie, jeśli nie chciał zamarznąć na śmierć.

Zarośla, drzewa i małe ukryte zwierzęta, szeptały wieści, których nie mógł usłyszeć, paplały i plotkowały na wietrze o małym Marsjaninie, który utrzymywał się w cieple poprzez pracę. Ale nie był w stanie zrozumieć ich języka, który tak naprawdę nie był językiem.

Sennie Riordan rozmyślał o swoich dawnych polowaniach. O grubej zwierzynie na Ziemi, lwach, tygrysach, słoniach, bawołach i owcach na wysokich, zalanych słońcem, szczytach Gór Skalistych. O deszczowych lasach na Wenus i pokasłującym ryku wielonogiego potwora bagiennego, przedzierającego się przez drzewa, do miejsca w którym stał i czekał. Pierwotny rytm bębnów w ciemnościach gorącej, wilgotnej nocy, pieśni tańczących wokół ognisk naganiaczy… Wędrówka po piekielnych równinach Merkurego, z olbrzymim napuchniętym słońcem nad głową, liżącym gorącem jego cienki skafander izolacyjny… Wspaniałość i samotność podsiąkających ciekłym gazem bagien Neptuna i olbrzymie ślepe stworzenie, które skrzecząc sunęło na niego po omacku…

Ale to było najbardziej samotne, najdziwniejsze i chyba najbardziej ze wszystkich niebezpieczne polowanie, i dlatego właśnie najlepsze. Nie czuł żadnej złości w stosunku do Marsjanina. Szanował odwagę małej istoty, tak samo jak szanował dzielność wszystkich innych zwierząt, z którymi walczył. Jakiekolwiek trofeum uda mu się przywieźć do domu z tego pościgu, będzie uczciwie zapracowane.

Fakt, że jego sukces będzie musiał być utrzymywany w dyskrecji, zupełnie się nie liczył. Polował nie tyle dla chwały jaka z tego wynikała –– chociaż musiał przyznać, że nie lekceważył rozgłosu –– co z zamiłowania. Jego przodkowie także walczyli pod tą, czy inną nazwą –– wikingowie, krzyżowcy, buntownicy, patrioci, cokolwiek było w danej chwili w modzie. Walkę miał we krwi, a w tych zdegenerowanych czasach nie było zbyt wiele rzeczy, o które można było walczyć, a więc polował.

No cóż… jutro… odpłynął w sen.

Obudził się o szarym, krótkim świcie, przygotował szybkie śniadanie i zagwizdał na psa, przywołując go do nogi. Nozdrza rozszerzały się mu z podniecenia, ogromnego intensywnego oszołomienia, które śpiewało mu dzisiaj rozkosznie w duszy. Dzisiaj… to być może już dzisiaj!

Musieli zejść do kanionu okrężną drogą, i pies szukał wszędzie przez godzinę zanim złapał trop. Wtedy ponownie zabrzmiało głębokie ujadanie i wyruszyli –– tym razem nieco wolniej, ponieważ szlak był trudny, kamienisty.

Słońce było już wysoko na niebie, kiedy przedzierali się z trudem wzdłuż koryta starożytnej rzeki. Jego blade, chłodne światło zalewało blaskiem ostre jak igła skały, fantastycznie ubarwione górskie ściany, kamienne odłamki, piasek i całą resztę tego pobojowiska epok geologicznych. Niskie i twarde zarośla chrupały pod nogami człowieka, zwijając się i trzeszcząc w bezsilnym proteście. Poza tym panowała cisza. Głęboka, pełna napięcia i jakby wyczekująca na coś cisza.

Pies przerwał ją zapalczywym skowytem i rzucił się do przodu. Jeszcze gorący trop! Riordan skoczył za nim, depcząc gęste zarośla, sapiąc, przeklinając i uśmiechając się z podnieceniem.

Nagle zarośla rozstąpiły się psu pod nogami. Z pełnym konsternacji wyciem, ześlizgnął się wzdłuż spadzistej ściany wilczego dołu. Riordan rzucił się do przodu z tygrysią szybkością, upadł jak długi na brzuch i w ostatniej chwili jedną ręką, udało mu się chwycić zwierzę za ogon. Wstrząs nieomal wciągnął do dziury również i jego. Otoczył drugim ramieniem krzew, który przeorał mu hełm i wyciągnął psa z dołu.

Roztrzęsiony, popatrzył do środka pułapki. Była naprawdę dobrze zrobiona. Miała mniej więcej dwadzieścia stóp głębokości, ściany tak proste i tak wąsko rozstawione, jak tylko pozwalało na to piaszczyste podłoże, i była umiejętnie nakryta zaroślami. Wbite w dno sterczały trzy, złowrogo wyglądające krzemienne włócznie. Gdyby jego reakcja była choćby o włos spóźniona, straciłby psa, a być może również i własne życie.

Rozciągnął usta w szerokim, wilczym uśmiechu i rozejrzał się dookoła. Sówka musiał pracować nad tym przez całą noc. A więc, nie mógł być specjalnie daleko stąd… no i jest bardzo zmęczony…

Tak jakby w odpowiedzi na jego myśli, z pobliskiej ściany skalnej runął w dół głaz. Był olbrzymi, ale na Marsie spadający przedmiot miał przyśpieszenie ponad połowę mniejsze od tego, jakie miałby na Ziemi. Riordan odsunął się na bok, kiedy głaz z hukiem zwalił się w miejsce, w którym przedtem leżał.

– No, chodź tutaj! – wrzasnął i rzucił się w stronę ściany.

Na chwilę ponad krawędzią, pojawiła się szara postać, i rzuciła w niego włócznią. Riordan wystrzelił w jej stronę, i znikła. Włócznia ześlizgnęła się po mocnej tkaninie jego skafandra, i zaczął wspinać się wąskim występem, na szczyt skały.

Marsjanina nie było nigdzie widać, jak okiem sięgnąć, ale w głąb postrzępionego skałami terenu, prowadził słaby czerwony ślad.

Na Boga, pogoniłem go!

Psu zajęło nieco czasu znalezienie obejścia pozwalającego na dostanie się na pokryty odłamkami skalnymi szlak, a kiedy już przybiegł, jego łapy też krwawiły. Riordan wskazał mu kierunek i ponownie wyruszyli.

Podążali szlakiem przez jakąś milę lub dwie, i wtedy nagle się skończył. Riordan rozglądał się po pustkowiu, na którym drzewa i skalne iglice blokowały drogę we wszystkich możliwych kierunkach. Ewidentnie sówka musiał wrócić po swoich śladach i wejść na jedną z tych skał, które minęli, a potem przeskoczyć w powietrzu w jakieś inne miejsce. Ale gdzie?

Po twarzy i całym ciele człowieka spływał pot, którego nie mógł obetrzeć. Wszystko nieznośnie go swędziało, a jego płuca rzęziły, próbując złapać kolejną porcję powietrza. Ale nadal śmiał się z zachwytu, urywanym śmiechem. Co za pościg! Co za pościg!

Kreega leżał w cieniu wysokiej skały, i dygotał ze zmęczenia. Poza tą odrobiną cienia, światło słoneczne błyskało w tańcu. Dla niego był oślepiający, nie do zniesienia taniec, gorący, okrutny i łapczywie wysysający życie. Twardy i jasny jak metal najeźdźców.

Poświęcenie bezcennych godzin, podczas których mógłby odpoczywać, na pracę nad pułapką, było błędem. Nie udało się, i powinien przewidzieć, że może się nie udać. A teraz był głodny i spragniony, jakby w jego ustach i gardle siedziała jakaś dzika bestia, a łowcy nadal podążali jego śladem.

W tej chwili też nie pozostawali specjalnie daleko za nim. Przez cały dzień następowali mu na pięty, nigdy nie oderwał się od nich na więcej niż pół godziny do przodu. Nie ma spoczynku, nie ma spoczynku, diabelski pościg przez umęczone kamienne i piaszczyste pustkowie, a teraz pozostało mu jedynie oczekiwanie na walkę, ze spoczywającym na jego ciele kamiennym brzemieniem wyczerpania.

Rana w boku płonęła mu ogniem. Nie była głęboka, ale kosztowała go wiele krwi i bólu i kilka chwil opatrywania, które zdołał pochwycić.

Na chwilę, wojownik Kreega gdzieś zniknął, i pośród milczącej pustyni łkało jedynie samotne, przerażone dziecko. *Dlaczego oni nie mogą zostawić mnie w spokoju*?

Niski, burozielony krzew zaszeleścił. To na jednej z lawin zjechał piaskowy biegacz. Zbliżali się do niego.

Ze zmęczeniem Kreega wspiął się na szczyt jednej ze skał i mocno przywarł do podłoża. Wycofał się tutaj po własnych śladach. Zgodnie ze wszystkimi regułami, powinni przechodzić tędy, idąc za nim w kierunku jego wieży.

Z tego miejsca mógł nawet ją dostrzec, niska żółta ruina, zdewastowana przez wichry tysięcy lat. Miał tylko tyle czasu, by wpaść do środka, złapać łuk, kilka strzał i topór. Żałosna broń. Przy niewielkiej sile rąk Marsjanina, służącej do napięcia łuku, strzały nie były w stanie przebić skafandra Ziemianina, a nawet ze stalową głownią toporka, był tylko

małym i słabym stworzeniem. Ale to było wszystko co miał, on i tych kilku jego małych sprzymierzeńców z pustyni, którzy walczyli jedynie o to by pozostawiono ich w spokoju.

Niewolnicy, którzy wrócili do domu, opowiadali mu o potędze Ziemian. Należące do nich ryczące maszyny wypełniały hukiem ciszę ich własnych pustyń, poznaczyły spokojne oblicze ich własnego księżyca, wstrząsały planetami z nieprzytomną furią bezrozumnej energii. Oni byli zdobywcami, i nigdy nawet nie przyszło im do głowy, że pradawny spokój i cisza mogą być warte zachowania.

No cóż… Nałożył strzałę na cięciwę i przykucnął w cichym, migoczącym świetle słonecznym i czekał.

Jako pierwszy nadbiegł pies, skomląc i wyjąc. Kreega naciągnął łuk tak mocno, jak tylko mógł. Ale najpierw musiał trochę bliżej podejść człowiek…

Oto jest, biegnie i przeskakuje przez skały, ze strzelbą w dłoni i niestrudzonymi oczyma, lśniącymi zielonym blaskiem czujności, które może zamknąć tylko śmierć. Kreega miękkim ruchem odwrócił się do tyłu. W tej chwili zwierzę było już kawałek za skałą, a Ziemianin niemal pod nią.

Brzęknęła cięciwa. Z dzikim dreszczem podniecenia Kreega zobaczył jak strzała przebija psa, jak stworzenie wyskakuje w powietrze, a następnie przetacza się raz i drugi przez siebie, wyjąc i kąsając wystającą mu z piersi rzecz.

Jak szara błyskawica, Marsjanin rzucił się w dół ze skały, prosto na człowieka. Jeżeli uda mu się toporkiem rozbić hełm Ziemianina…

Uderzył w człowieka i obydwaj upadli na ziemię. Szaleńczo Marsjanin zadał cios. Topór ześlizgnął się po plastiku… nie miał miejsca, by się ponownie zamachnąć. Riordan ryknął i walnął go pięścią. Zakręciło mu się w głowie i Kreega odtoczył się w tył.

Riordan z trzaskiem wystrzelił w jego kierunku. Kreega odwrócił się i uciekł. Człowiek przyklęknął na jedno kolano, uważnie celując w szarą postać, która zmierzała w górę najbliższego zbocza.

Mały wąż piaskowy śmignął po nodze człowieka i owinął mu się wokół nadgarstka. Jego niewielkie siły, wystarczyły akurat do tego, by nieco odsunąć lufę broni na bok. Kula z wizgiem przeleciała koło ucha Kreegi, i Marsjanin zniknął w rozpadlinie.

Poczuł osłabioną przez odległość agonię i śmierć węża, kiedy człowiek rzucił go na ziemię i rozdeptał nogą. Nieco później doleciał do niego stłumiony huk, odbijający się echem pośród wzgórz. Człowiek przyniósł ze swojej łodzi materiały wybuchowe i wysadził w powietrze jego wieżę.

Stracił siekierę i łuk. Teraz został już zupełnie bezbronny, nie mając nawet miejsca, by spocząć na wieki. A bezlitosny łowca nie zrezygnuje. Nawet bez zwierząt będzie szedł za nim, nieco wolniej, ale równie niestrudzenie jak przedtem.

Kreega padł na skalną półkę. Suchy szloch wstrząsnął jego szczupłym ciałem, a wiatr zachodzącego słońca płakał razem z nim.

Wkrótce jednak popatrzył w górę, ponad czerwonymi i żółtymi bezmiarami, na chylące się nisko nad horyzontem słońce. Po całym terenie

skradały się długie cienie, na krótką chwilę, zanim na wszystko spłynie żelazny ziąb nocy, zapanował spokój i cisza. Skądś, rozbrzmiewając echem pośród niskich, zniszczonych przez wiatr skał, doleciał miękki tryl biegacza piaskowego, a zarośla zaczęły rozmawiać, wysyłając na wszystkie strony szepty swojej pradawnej, pozbawionej słów, mowy.

Przemówiły do niego pustynia, planeta, jej wiatr i piasek, rozciągające się pod wysokimi zimnymi gwiazdami, czysta, otwarta kraina ciszy i samotności, i jej przeznaczenie, które nie należało do człowieka. Ogromna wspólnota życia na Marsie, razem stawiającego czoła okrutnemu środowisku, zagrała mu we krwi. W miarę jak słońce znikało za linią horyzontu, a na całym niebie rozkwitały gwiazdy, w swojej budzącej grozę mroźnej chwale, Kreega zaczął znowu jasno myśleć.

Nie nienawidził swojego prześladowcy, ale przepełniała go nieubłagana surowość Marsa. Toczył wojnę o to, co było starodawne, pierwotne i zagubione w jego własnych marzeniach, wojnę przeciwko bezczeszczącym to obcym. Ta wojna była tak odwieczna i bezlitosna jak życie, a każda wygrana lub przegrana bitwa miała swoje znaczenie, nawet jeżeli nikt o niej nie słyszał.

Nie walczysz sam, wyszeptała pustynia. *Walczysz za całego Marsa, i my jesteśmy z tobą*.

Coś poruszyło się w ciemności, mała ciepła postać przebiegła mu po ręce. Małe, delikatnie upierzone podobne do myszy stworzenie, które kopało nory w piasku i żyło życiem małego uciekiniera, ale przecież było zadowolone ze swojego sposobu życia. Ale było ono częścią tej planety, a w głosie Marsa nie było nawet śladu litości.

W sercu Kreegi, pozostała jednak czułość, i wyszeptał łagodnie w języku, który nie był językiem: *Zrobisz to dla nas? Zrobisz to dla nas, mały bracie*?

Riordan był za bardzo zmęczony, żeby dobrze spać. Przez długi czas leżał nie mogąc zasnąć, rozmyślając o tym, że samotnego człowieka w marsjańskich górach, nie może czekać nic dobrego.

A więc teraz, także zginął pies. To nie miało większego znaczenia, sówka nie mógł mu uciec. Jednak, w jakiś sposób, całe to zdarzenie, uświadomiło mu ogrom, wiek i samotność pustyni.

Zaczął słyszeć jej szepty. Zarośla szeleściły, w ciemnościach coś łkało, a wiatr wygwizdywał dzikie, żałobne melodie, na oświetlonych słabym blaskiem gwiazd skałach. Wszystko to razem brzmiało tak, jakby cała planeta szeptała i groziła mu pośród nocy. Ponuro zaczął się zastanawiać, czy człowiek w ogóle zdoła kiedykolwiek podbić Marsa. Czy czasami ludzka rasa nie natrafiła w końcu na cos większego, niż ona sama?

Nie, to były nonsensy. Mars był stary, zniszczony i jałowy, pogrążył się we śnie prowadzącym do powolnej śmierci. Odgłos ludzkich kroków, gwar okrzyków i ryk wznoszących się w niebo rakiet budziły go, ale dla nowego przeznaczenia, dla człowieka. Gdzie byli pradawni bogowie Marsa, kiedy Ares wznosiło swoje iglice ponad wzgórza Syrtis?

Było zimno, a w miarę jak wlokły się kolejne nocne godziny, robiło się jeszcze zimniej. Gwiazdy były jednocześnie ogniem i lodem, błyszczącymi diamentami w głębokiej, krystalicznie czystej ciemności. Nieustannie dochodziły do niego słabe trzaski, niosące się po ziemi, spowodowane przez rozpadające się skały lub łamiące drzewa. Wiatr w końcu sam poszedł spać, dźwięki zamarzły na śmierć, i pozostało już tylko twarde, czyste światło gwiazd, spadające przez kosmos, by rozbić się na powierzchni ziemi.

W pewnej chwili coś się poruszyło i obudził się z niespokojnego snu. Zobaczył biegnące w jego stronę małe stworzenie. Wymacał ręką leżącą obok śpiwora strzelbę, ale po chwili szorstko się roześmiał. To była tylko piaskowa mysz. Udowodniło to jednak, że Marsjanin nie ma szans podkraść się do niego, nawet kiedy odpoczywał.

Nie roześmiał się po raz drugi. Dźwięk rozbrzmiewał w jego hełmie zbyt głuchym echem.

Wraz z jasnym, mroźnym porankiem, był już na nogach. Chciał w końcu mieć to całe polowanie za sobą. Był brudny i nieogolony wewnątrz skafandra, mdliło go już na samą myśl o żelaznych racjach, wsuwanych do środka przez małą śluzę, był zesztywniały i obolały z wysiłku. Bez psa, którego musiał zastrzelić, tropienie będzie powolne, ale nie chciał wracać po kolejnego do Port Armstrong. Nie, niech diabli wezmą tego Marsjanina, musiał zdobyć jego skórę i to szybko!

Śniadanie i trochę ruchu, spowodowały, że poczuł się lepiej. Znalazł doświadczonym okiem trop Marsjanina. Piasek i porosty przykrywały wszystko, nawet na skałach leżała cienka warstwa ich własnej erozji. Sówka nie mógł absolutnie doskonale ukryć swoich śladów. Gdyby próbował to robić, za bardzo by go to spowalniało. Riordan ruszył miarowym truchtem.

Południe znalazło go w wyższym terenie, wśród poszarpanych wzgórz, ze smukłymi iglicami skalnymi, sterczącymi całe jardy w niebo. Biegł przez cały czas, ufając w swoją zdolność do utrzymania tempa pościgu. Kiedyś, w domu na Ziemi, ścigał jelenia, dzień za dniem, aż serce do walki zwierzęcia załamało się i stało tylko drżące, czekając kiedy do niego podejdzie.

Ślad wyglądał teraz wyraźnie i świeżo. Świadomość, że Marsjanin nie może być daleko, wzmagała w nim napięcie.

Wyglądał za wyraźnie! Czy nie była to przynęta prowadząca do kolejnej pułapki? Uniósł strzelbę i ruszył z większą ostrożnością. Ale nie, nie miałby czasu…

Wspiął się na grzbiet wysokiego wzgórza i rozejrzał się po ponurym, fantastycznym terenie. W pobliżu linii horyzontu dostrzegł poczerniały pas, granicę radioaktywnej bariery. Marsjanin nie mógł pójść dalej, a gdyby próbował się wycofać, Riordan miałby olbrzymią szansę na to, że go wypatrzy.

Podkręcił głośnik skafandra i jego głos zaryczał w ciszy:

– Wychodź, sówko! I tak cię dopadnę, równie dobrze możesz więc wyjść teraz i skończmy już z tym!

Echa wzmacniały jego słowa, przelatując w tą i z powrotem pomiędzy nagimi skalnymi ścianami, drżąc i wibrując pod spiżowym sklepieniem nieba. *Wychodź, wychodź, wychodź*…

Wydawało się, że Marsjanin pojawił się zupełnie znikąd, w pustym rozrzedzonym powietrzu, szary duch który wyrósł spośród skłębionych zwałów kamieni i stał wyprostowany, nawet nie dwadzieścia stóp od niego. Przez chwilę szok związany z tym zdarzeniem, okazał się zbyt mocny. Riordan stał z otwartymi ustami, gapiąc się z niedowierzaniem. Kreega czekał, lekko drżąc, tak jakby był mirażem.

Po chwili człowiek krzyknął i uniósł trzymaną w ręku strzelbę. Marsjanin nadal stał nieruchomo, jak wyrzeźbiony z szarego kamienia, a Riordan pomyślał ze wstrząsającym rozczarowaniem, że po tym wszystkim musiał się pewnie zdecydować, na poddanie się nieuniknionej śmierci.

No cóż, to i tak było dobre polowanie.

– No to, na razie – wyszeptał Riordan i nacisnął spust.

Ponieważ w lufie strzelby siedziała piaskowa mysz, więc broń eksplodowała.

Riordan usłyszał huk wybuchu i zobaczył jak lufa rozchodzi się na wszystkie strony, jak skórka od banana. Nie został ranny, ale wybuch odrzucił go do tyłu. Kreega skoczył gwałtownie na niego.

Marsjanin miał cztery stopy wysokości, był chudy i nie miał broni, ale uderzył Ziemianina jak małe tornado. Nogami owinął się wokół talii człowieka, a rękoma zaczął szarpać przewód powietrzny jego skafandra.

Pod wpływem uderzenia, Riordan upadł na ziemię. Warknął jak tygrys i schwycił rękoma za cienkie gardło Marsjanina. Kreega bezradnie zatrzaskał na niego dziobem. Przetaczali się na wszystkie strony, w chmurze pyłu. Zarośla zaczęły trajkotać w podnieceniu.

Riordan próbował złamać Kreedze kark. Marsjanin wykręcił się i ponownie wczepił w prześladowcę.

Ze wstrząsem przerażenia, człowiek usłyszał syczenie uciekającego powietrza, kiedy w końcu dziób i palce Kreegi rozerwały wąż doprowadzający powietrze. Automatyczny zawór zamknął przewód, ale oznaczało to, że nie ma połączenia z pompą…

Riordan zaklął i ponownie złapał Marsjanina za gardło. Potem już tylko leżał na nim, zaciskając z całych sił ręce, a żadne szarpnięcia i próby wykręcenia się Kreegi, nie były w stanie zerwać tego chwytu.

Riordan uśmiechał się leniwie i trzymał cały czas ręce w tej samej pozycji. Po jakichś pięciu minutach, Kreega przestał się ruszać. Riordan nie przerywał duszenia przez kolejnych pięć minut, tak by się po prostu upewnić. Potem puścił go i zaczął macać ręką po plecach, usiłując dosięgnąć do pompy.

Powietrze w jego skafandrze stawało się duszne i śmierdzące. Nie był jednak w stanie sięgnąć ręką dookoła ramienia na tyle dobrze, by podłączyć wąż do pompy…

Kiepsko pomyślane, pomyślał niewyraźnie. *Ale przecież te skafandry nie zostały zaprojektowane jako pancerze bitewne*.

Popatrzył na drobną, milczącą postać Marsjanina. Słaby wietrzyk zwichrzył szare pióra. Jakim wojownikiem był ten mały człowieczek! Będzie dumą jego kolekcji trofeów, na Ziemi.

A teraz, do roboty… Rozwinął swój śpiwór i uważnie go rozłożył. Nie ma szans na dojście do rakiety z tym powietrzem, jakie miał w skafandrze, musiał więc napuścić do niego suspendyny. Najpierw jednak trzeba schować się do śpiwora, w przeciwnym razie noce zmrożą jego krew na kamień.

Wsunął się do środka, dokładnie zapinając klapy, i otworzył zawór zbiornika z suspendyną. Jakie szczęście, że ją ze sobą zabrał –– ale przecież dobry łowca myśli o wszystkim. Będzie tu się straszliwie nudził, zanim Wisby za dziesięć dni odbierze sygnał i przyleci go odnaleźć, ale jakoś wytrzyma. Będzie to doświadczenie, które zapamięta sobie na całe życie. W tym suchym powietrzu, skóra Marsjanina, powinna przechować się w idealnym stanie.

Czuł jak paraliż z wolna pełznie mu w górę po ciele, zanika akcja serca i zamiera oddech. Jego zmysły i mózg były ciągle żywe, i coraz bardziej uświadamiał sobie, że pełne rozprężenie ma także swoje niezbyt miłe aspekty. Och, dobrze –– przecież zwyciężył. Zabił najbardziej podstępne zwierzę, swoimi własnymi rękoma.

Po pewnym czasie Kreega usiadł. Ostrożnie obmacał całe ciało. Chyba ma złamane żebro… no cóż, wygoi się. Nadal był żywy. Ziemianin dusił go przez dobre dziesięć minut, ale Marsjanie są w stanie wytrzymać bez powietrza ponad piętnaście.

Otworzył śpiwór i zabrał Riordanowi kluczyki. Potem pokuśtykał powoli w stronę rakiety. Jeden czy też dwa dni spędzone na eksperymentowaniu, pozwoliły mu nauczyć się nią latać. Poleci do swoich mieszkających w pobliżu Syrtis krewnych. Teraz będą mieli ziemską maszynę i ziemską broń, które mogą skopiować…

Ale najpierw miał do załatwienia inną sprawę. Nie czuł nienawiści do Riordana, ale Mars to twardy świat. Wrócił więc do niego, zaciągnął ciało Ziemianina do jaskini i ukrył je tak, by żadna wyprawa poszukiwawcza ludzi nie zdołała go odnaleźć.

Przez chwilę spoglądał w oczy człowieka. W odpowiedzi zobaczył otępiałą zgrozę i przerażenie. Powiedział powoli urywanym angielskim:

– Za tych, których zabiłeś. Za to, że jako obce stworzenie, przybyłeś na planetę, na którą nikt cię nie zapraszał. Dlatego, aby nadszedł dzień, kiedy Mars będzie znowu wolny… Zostawiam cię tutaj.

Zanim odleciał, zabrał z łodzi kilka zbiorników z powietrzem i podłączył je do systemu tlenowego w skafandrze człowieka. To było całkiem sporo powietrza, jak na potrzeby kogoś, kto był w stanie zawieszenia procesów życiowych. Spokojnie wystarczało, aby utrzymać go przy życiu nawet przez tysiąc lat.

KONIEC